

Rozdział 1

Wody Kanału La Manche tworzyły niemal płaską powierzchnię. Tylko malutkie falowanie zdradzało, że świat nie zapadł się w jakąś szarą nicość. Siny kolor wody nie miał końca ani początku. Tak samo jak gęsta mgła zalegająca nad samą powierzchnią. Widoczność została dramatycznie ograniczona. Statek Calais Douvres miał wodę za pomocą kół z łopatkami po obu stronach kadłuba. Z dwóch kominów wydobywał się delikatny dym. W normalnych warunkach podróż z Calais do Dover trwałaby około dziewięćdziesięciu minut, a w pośpiechu udawało się zejść nawet poniżej godziny. Jednak przy takiej pogodzie jak dzisiaj, znacznie ograniczono prędkość, a cała dostępna załoga zajęła miejsca na pokładzie, wypatrując ewentualnych przeszkód. Nie pomagały żadne lornetki, bo tylko zamazywałyby obraz.

Bogatsi pasażerowie ukryli się przed wilgocią w swoich kabinach, a właściciele tańszych biletów na tyłach statku pod płóciennym zadaszeniem. Nie podziwiano piękna kanału i chroniono ubrania przed nasiąkaniem wodą. Jednak jeden z podróżnych udających się do Zjednoczonego Królestwa, pozostał na zewnątrz. Po pierwsze niezwykle interesował się konstrukcją statku. Wydała mu się tak stara, że na własny użytek nazywał ją średniowieczną. Zadał nawet kilka pytań załogantom, ale potem zorientował się, że przeszkadza i przerwał. Poza tym stwierdził, że poznawanie

przestarzałych form napędu okrętowego jest marnowaniem czasu. Wiedział przecież, że przyszłość to turbina...

Skończył rozmyślenia, bo wydało mu się, że coś zamajaczyło w gęstej, zaparowanej rzeczywistości. Zdjął kapelusz, spod którego wysypały się jasne długie loki. Dziewczeta siedzące pod daszkiem natychmiast rzuciły na niego okiem. Najwyraźniej zrobił na nich wrażenie. Jego ruchy były energiczne, a nawet zawadiackie. Odrzucił włosy z oczu i zrobił krok do przodu, opierając się o reling. W jednej ręce trzymał książkę, którą obiecał przeczytać, ale nie mógł się za nią zabrać. Podniósł się na palcach i wyteżył wzrok. Od-ruchowo przyłożył książkę do czoła, jakby chciał zasłonić promienie słoneczne. Trochę zobaczył, a trochę dodała wyobraźnia, ale był niemal pewny, że na poziomie wody widzi buzujący biały ślad wody podnoszonej przez dziób innego statku. Po sekundzie był już pewny, że rozbijane fale są większe niż przy dziobie pasażerskiego transportowca. To musiało być coś...

– Okręt z prawej burty! – wykrzyczał najgłośniejszym głosem, jak umiał. – Okręt z prawej burty!

Oczy wszystkich zwróciły się w tamtą stronę, ale nikt nie zareagował. Całą załogę zupełnie zamurowało. Dlatego młody człowiek rzucił się do sterówki. Wpadł tam z impetem i zobaczył spętanych niemocą kapitana Calais Douvres oraz sternika. Tymczasem we mgle pojawił się olbrzymi dziób okrętu wojennego. Był cały pomalowany na szaro. Ten kolor doskonale maskował w obecnych warunkach. Bezdykusyjnie znajdował się na kolizyjnym kursie ze statkiem pasażerskim. Młody człowiek natychmiast ocenił sytuację,

szybko, acz ostrożnie, odłożył książkę na półeczkę kapitańską i pchnął koło sterowe wraz z ręką marynarza. Trzeba było działać natychmiast, bo ich szanse na uniknięcie zderzenia były minimalne.

– Ster lewo na burt! – wrzasnął.

Sternik posłusznie zakręcił kołem najmocniej jak umiał. Młodzieniec wiedział, że powinna paść jeszcze dyspozycja dotycząca mocy silnika. Kuksańcem przebudził z letargu kapitana. Ten pochylił się odruchowo nad mosiężną tubą z wytartym i ledwo widocznym napisem „Maszynownia”.

– Cała naprzód! – Dowódca wykrzyczał do jej wnętrza.

Dopiero teraz wszyscy poczuli, że statek zaczyna odchyłać się w lewo. Po kilku sekundach zwiększona moc maszyny parowej dodała prędkości Calais Douvres, co mogło oznaczać zderzenie, ale miało w zamiarze przyspieszyć manewr zakrętu. Interesując się budową wszelkich maszyn, młody człowiek oceniał możliwości tego statku na osiemnaście, najwyżej dziewiętnaście węzłów, ale potrzeba było czasu, aby do tego poziomu dojść.

Tymczasem z prawej strony zbliżała się gigantyczna góra metalu. Pancerny okręt z armatami zakutymi w stalowych wieżach nie zwolnił. Na dziobie powiewała flaga, której barw nie dało się rozpoznać z powodu dominującej sonej szarości. Przed mostkiem sterczały dwie lufy nieprawdopodobnych dział o olbrzymiej średnicy. Potem zza mgły wychynęły maszt przedni oraz dwa kominy.

Dopiero teraz kapitan statku pasażerskiego pociągnął za syrenę i rozległ się jej dźwięk. Pasażerowi z blond lokami skojarzył się mniej z ostrzeżeniem, a bardziej z błaganiem

skierowanym do nadpływającego wielkiego brata. Jednak tam na reakcję nie było już czasu. Dziób zbliżał się do burty Calais Douvres. Burta ta nadal próbowała się uchylić, jak człowiek, który próbuje uniknąć ciosu pięścią. Statek mierzwił przekręcał się w lewo, ale wydawało się, że pięść dosięgnie twarzy. Na dziobie pędzącego pancernika można już było dostrzec nazwę okrętu: Camperdown. Z pewnością należał do floty brytyjskiej strzegącej wód Kanału Angielskiego, jak nazywali La Manche mieszkańcy wysp.

Młody człowiek zapał się o ścianę. Sternik mocniej złapał koło i przygotował na uderzenie dziobu w burtę. Spodziewali się, że zaraz blacha zostanie rozerwana, a wszyscy znajdujący się na pokładzie zatoną w mroźnej jesiennej wodzie. Statek nie był wypełniony do dozwolonego poziomu tysiąca dwustu pasażerów, ale i tak było to kilkaset osób. Wyobraźnia podpowiadała zgrzyt rozdzielanego poszycia. W uszach szumiała fala wlewająca się do maszynowni i kabin. Już...

I wtedy nastąpił cud. Calais Douvres złapał spóźniony rozkaz skrętu i kadłub zaczął się odwracać, aby obrać ten sam kurs, co pędząca maszyna wojenna. Dziób pancernika minął wirujące koło z łopatkami o kilka metrów. Przez moment oba obiekty pływające ustawiły się równolegle. Wtedy sternik szybko odkręcił koło sterowe, aby nie uderzyć rufą o burtę pancernika. Pomogła fala wzbudzona przez dziób okrętu, bo odrzuciła statek, powodując jednocześnie mocny przechył i utratę równowagi całej załogi i pasażerów. Camperdown nadal nie zwalniał. Gnał w swojej misji w stronę południowo-zachodnią.

Pasażer patrzył na olbrzyma mijającego ich z prawej strony. Przy relingu pojawił się jeszcze jeden mężczyzna z małą, pokrytą skórą skrzyneczką. Majstrował przy tej skrzyneczce i ciągle do niej zaglądał. Na pokładzie pancernika stało kilku przerażonych marynarzy. Mogli tylko śledzić wzrokiem koła pasażerskiego statku mielące wodę. Obok niego maszyna wojenna wydawała się być ogromna.

– Wielki – powiedział młodzieniec. – Pewnie ze sto metrów.

– Nie... – zachnął się kapitan, który nagle odzyskał mowę i możliwość ruchu. – Pewnie ze trzysta stóp, może nawet trzysta trzydzieści?

– A te armaty? Jaki mają kaliber? – Zastanawiał się blondyn. – Ze trzydzieści pięć centymetrów.

– No nie wiem. – Kapitan pokręcił głową. – Na pewno ponad trzynaście cali.

– Jaka to musi być moc silników – zachwycił się młody.

– Na moje oko – kapitan przymrużył prawe – pędzi ze dwadzieścia węzłów.

– Chociaż w tym jednym się zgadzamy – potwierdził blondyn. Poklepał po plecach pobladłego sternika.

Z udawanym spokojem wyszedł na zewnątrz, ale tak naprawdę cały dygotał. Po chwili coś sobie przypomniał. Szybko zawrócił i sięgnął po odłożoną naprędce książkę.



Kapitan Calais Douvres nakazał zrobić wielkie koło i dopiero potem popłynął we właściwym kierunku. Zdezorientowani pasażerowie wyszli na pokład. Dzielili się

wrażeniami z nieprawdopodobnego wydarzenia. Niektórym z emocji drżały ręce, inni modlili się w podzięcie za ocalenie, ale każdy choć przez chwilę spojrział na młodego człowieka stojącego na dziobie, wpatzonego w odległe klify w okolicach Dover. Było je widać, bo mgła podniosła się szybciej, niż trwało spotkanie z pancernikiem. Nagle wyszło słońce, a młody człowiek z kieszeni marynarki wyjął ciemne okulary. Miały przynieść ulgę dla oczu w czasie ostrego słońca. Pomyśleć, że jeszcze niedawno używali ich tylko chorzy na syfilis.

Pasażerowie przyglądali się mężczyźnie z zaciekawieniem. Próbowali się dowiedzieć, komu zawdzięczają ocalenie. Niektórzy spotkali go już w Calais, skąd wypłynęli. Ktoś zapamiętał go z pociągu z Paryża, który zgodnie z rozkładem Special Express Tidal Service opuścił stolicę Francji punktualnie o drugiej po południu poprzedniego dnia. Podobno wieczorem ów młody człowiek kupił popołudniówkę, wysiadając na dworcu w Calais. Jeszcze inna osoba nocowała z nim w tym samym hotelu. Kolejna stała rano za blondynem w kolejce do wejścia na Calais Douvres i opowiadała o rozmowie z załogantem.

– Bilet proszę – zatrzymał młodego człowieka mężczyzna w mundurze linii okrętowej obsługującej połączenie między Francją a Wielką Brytanią.

– Mam, ale chciałbym się jeszcze upewnić, czy inna rezerwacja jest potwierdzona – odrzekł zagadnięty.

– Tam. – Wskazał oschle bileter. – W tamtym kantorze.

Wysoki blondyn uchylił kapelusza i odwrócił się na pięcie. Błyskotliwe szybkie spojrzenie omiotło zgromadzonych.

Zrobił kilka kroków powoli, a potem sprężystym marszem udał się do wskazanego biura.

Jedna z kobiet weszła do wspomnianego kantoru tuż przed młodzieńcem, a właściwie to ją przepuścił, jako dżentelmen. To ona szeptem podała nazwisko bohatera, opowiadając o tym spotkaniu współpasażerom.

– Konstanty Aleksander Dobrowolski. – Francuski sprzedawca biletów wolno łamał sobie język. Z trudem zestawiał głoski z literami. Nawet się zaciekawił: – Pan z Rosji?

– Uchowaj Boże. – Pokręcił głową.

– Może z Polski? – dopytywał sprzedający.

– Proszę pana – odrzekł Konstanty. – Jestem inżynierem z Paryża. Czy znalazł już pan moją rezerwację?

Kobieta opowiadała ze szczegółami. Okazało się, że wszystko jest w porządku. Kartkę papieru pokrywały gotowe nadruki, a pomiędzy nimi wprawną ręką wypisano nazwisko.

– Czy jest już przygotowany bilet na nazwisko Hosni Al-Battani? To mój służący – dopytywał inżynier według słów kobiety, która była świadkiem rozmowy. – Będziejechał z bagażami.

Wtedy zawył sygnał wzywający pasażerów na statek, wspominał kolejny z podróżnych. Dlatego ten Dobrowolski ruszył do wyjścia. Kilka chwil później sprzedawca wybiegł z kantoru i zawołał, że oczywiście jest już wszystko przygotowane dla człowieka o dziwnym nazwisku.

Każdy widział, że wody Kanału La Manche po prostu się nie ruszały. Niemal płaska powierzchnia nikła pod przykryciem gęstej mgły, która spowijała przeprawę między Republiką Francuską a Zjednoczonym Królestwem.

– Mam to w nosie – zawołał wówczas kapitan parowca. Potem rzucił kilka twardych przekleństw w języku Szekspira i zawołał: – Albert! Wychodzimy!

Albertem okazał się Chief z maszynowni. Od południa grzał parę, ale nie miał możliwości wprawić jej w ruch. Wydawało się wszystkim, że jest zbyt niebezpiecznie. Jednak rozkład jazdy był czymś ważnym i należało się go trzymać, kiedy tylko się dało. Ale tak naprawdę kapitana motywowało coś innego. Tego dnia miał się spotkać ze swoją całą rodziną, bo wypadały jego urodziny i córki szykowały niespodziankę. Od rana był bardzo rozkojarzony i myślał tylko o wieczornej kolacji.

– Maszyny gotowe – odpowiedział mu wtedy Chief i poszedł do komory z kotłem.

– Podobno jest inżynierem – zakończyła szeptem kobieta, która Dobrowolskiego poznała w kantorze sprzedaży biletów.



Kiedy słońce nadało dniu właściwy wygląd i wydobyło cienie po odejściu szarej mgły, na pokładzie ponownie pojawił się mężczyzna w meloniku z dziwnym pudełkiem na statywie. To on odciągał uwagę Dobrowolskiego podczas groźnego incydentu. Teraz podszedł do niego i uchylając nakrycie głowy, zapytał:

– Czy nie mógłby mi pan zrobić zdjęcia?

– Pan chyba żartuje – zdziwił się inżynier. – Proszę pojechać do jakiegoś zakładu czy atelier.

– Ach, nie. – Uśmiechnął się tamten. – Ja chciałbym zrobić zdjęcie tutaj, na statku. Z wybrzeżem w tle.

– W jaki sposób? – Kostek rozejrzał się w poszukiwaniu sprzętu. – Czym?

– Mam ze sobą aparat. – Patykowaty pokazał brązową skrzyneczkę.

– To...? Tym pan chce zrobić fotografię? A szkło? A...

– Ależ nie. – Ponownie się uśmiechnął. – To jest aparat Kodak. Numer jeden. Robi się nim zdjęcia na specjalnej przewijanej folii. Takiej taśmie...

– Byłem w zakładzie Kodak w Paryżu. Nie mieli nic takiego.

– W Ameryce produkują to już od trzech lat, ale do Europy trafiają dopiero pierwsze egzemplarze. – Mężczyzna okazał swą dumę. – Ja posiadam jeden z nich.

Dobrowolski był pod wrażeniem. Pozwolił się ustawić tak, aby słońce dobrze operowało na jego twarzy, a za nim majaczyły brzegi w okolicach Dover. Potem zamienili się szybko miejscami.

– Malutki – powiedział z podziwem, patrząc na pudełko wielkością przypominające domek dla ptaków.



– Ależ nie trzeba – zachnął się inżynier, kiedy kapitan zaproponował transport na dworzec kolejowy na koszt kompani kolejowo-morskiej.

Nic się jednak z tym nie dało zrobić i zamówiona dorozka odstawiła młodzieńca pod sam budynek.

Na peronie stał już pociąg gotowy do odjazdu. Konstanty wprawnym okiem ocenił lokomotywę. Jej nienaganna czystość błyszczała z daleka. Ciemnozielony kolor odcinał się od czerwono-bordowych wagonów. Dziewięć wygodnych

pojazdów wypełniło się pasażerami w większości przybyłymi na pokładzie Calais Douvres. Wszyscy uprzejmie kłaniali się Dobrowolskiemu. Tymczasem on zajął swoje miejsce i zerknął na zegar dworcowy. Była druga dziewiętnaście po południu. Podróżny wyczekał kilka chwil, patrząc, aż wskazówka przeskoczy o minutę, i usłyszał gwizdek, a potem poczuł szarpnięcie wagonów.



Szarpnięcie wagonów przebudziło go podobnie dzień wcześniej, kiedy ruszał z Gare du Nord, paryskiego dworca kolejowego. Miał za sobą trudny okres zniechęcenia i marazmu. Po kilku ekscytujących przygodach nastąpił ponury okres smutku i straty. Zniknięcie kobiety, która... Obiecał matce i ojcu do tego nie wracać.

Miał się zająć poszukiwaniem nowego zajęcia. Nic jednak w tej sprawie nie zrobił. W końcu ojciec dopiął swego i znalazł mu pracę oddaloną od Paryża. Miał kilku znajomych z dawnych lat, którzy mieszkali w Londynie. Apolinary, po ucieczce z transportu na Sybir za udział w powstaniu styczniowym w Polsce, dotarł do Francji. Wcześniej jednak zahaczył o Anglię. Poznani na budowie ludzie po dwudziestu latach okazali się doświadczonymi inżynierami i pośredniczyli w znalezieniu zatrudnienia. Jednak nie tylko o to zadbał ojciec.

– Tato... – wyjęczał Konstanty, kiedy ten wyciągnął go z jadalni do swojego gabinetu. – Ja w ogóle słabo czytam po polsku, a ty mi poezję proponujesz...

– To ważne – odrzekł poważnie Apolinary. – Po prostu mam dla ciebie dodatkowe... zlecenie.

Na biurku ojca leżały stopy dokumentów i książek. Od lat zajmował się polskimi sprawami. Czytał mnóstwo książek. Jego ulubionym, choć wciąż nieznanym, poetą był niejaki Norwid. Starszy Dobrowolski katował syna jego wierszami oraz próbował propagować go wśród znajomych. Te stopy dotyczyły zapewne właśnie jego.

Podał synowi do ręki kartę z zapisanym na niej wierszem Norwida. Kiedy młodszy Dobrowolski powoli usiłował sklecić trudne polskie słowa wypełniające papier, Apolinary opowiadał o swoim niedawnym spotkaniu. Okazało się, że do Paryża jakiś czas temu przyjechał Zenon Przesmycki, redaktor jakiegoś pisma z Warszawy. Ojciec, jak to miał w zwyczaju, postanowił kolejny raz spróbować zainteresować literata i wydawcę wspomnianym wierszem poety.

– No przecież zasługuje on na to, aby być znanym i poważanym – powiedział w pewnym momencie.

Syn oczywiście kiwnął głową, bo cenił pasję taty, choć nie rozumiał polskiej poezji.

Pan Przesmycki wyraził umiarkowane zainteresowanie wierszami twórcy, ale obiecał, że do nich zajrzy później. Na szczęście zajrzał wcześniej i zwrócił uwagę na znajomość, a może przyjaźń, która łączyła owego Norwida z Fryderykiem Chopinem.

– O, to już jest coś! – powiedział wówczas Przesmycki. – Wydaje mi się, że powinien pan nad tym popracować.

– Na czym ma polegać... zlecenie? – zapytał głucho syn i poczuł, jak dopada go chandra, która trzymała go w objęciach przez ostatnie dwa lata.

– Z tych zapisków Norwida wynika, że w ostatnim roku życia Chopina pojawia się jakaś tajemnica... kobieta... pieniądze... i być może coś więcej. – Ojciec zniżył głos, aby zabrzmiało to bardziej intrygująco.

– To oni się znali? – zdziwił się Kostek. – Ten cały Norwid z Chopinem?

– Oczywiście – obruszył się ojciec.

– Żyli w tych samych czasach?

– No jasne – złościł się tata. – Myślisz, że jak jeden jest poetą, a drugi muzykiem, to nie mogli się spotkać? Dwa różne światy?

– Masz rację... Przecież mogli pisać razem jakieś piosenki. – Wzruszył ramionami.

Twarz ojca zapłonęła ze złości. Uspokoił się jednak po chwili.

– Potraktuj sprawę poważnie.

– No pewnie. – Młodszy stał się bardziej ugodowy. – Co mam zrobić?

– Ponieważ wiemy, że umiesz rozsypywać pewne węzły...

– Po pierwsze nie bierz mnie pod włos – zachnął się Konstanty, choć w duchu się uśmiechnął z powodu podstępu ojca. – Po drugie nie oczekuj ode mnie, że będę w stanie powiedzieć porządnie: „rozsypywać pewne węzły”... Chyba że po francusku lub angielsku.

– Kostek... Synu. – Apolinary schylił się na sekundę, okazując, że przyznaje mu rację. – Znajdujesz coś między wierszami. Czytasz ukryte wiadomości i...

– Nie wiem, czy tutaj coś wyczytam. – Popukał w kartę z tekstem Norwida. – To trudne.

– Spróbuj... proszę.

– Wiem, o co ci chodzi. – Zaśmiał się w końcu Konstanty. – Tato, chcesz, żebym miał zajęcie i nie popadał dalej w melancholię. Obiecuję zatem, że nie popadnę.

– Zajmiesz się tym? – zapytał z nadzieją.

– Konkretnie. O co chodzi?

– Chciałbym, abyś poszukał zaginionej kompozycji Fryderyka Chopina. Z tego, co udało mi się wyczytać, powstał taki walc, którego nie można się doszukać.

– W Londynie? – zdziwił się Konstanty.

– Chopin rok przed śmiercią był w Anglii i Szkocji – wyjaśnił Apolinary. – Tam zapewne poznał tajemniczą kobietę.

Syn milczał, choć zagadka już wydała mu się ciekawa. Obiecał sobie, że będzie w Londynie tylko pracował. Żadnych kobiet. Zatem ta sprawa, jako wypełniacz wolnych chwil, wydawała się dobrym pomysłem.

– Jasne, że to zajęcie dla ciebie, ale... – dodał. – Może przez Chopina uda się pokazać światu Norwida?

– Chcesz za pomocą znanego pianisty wypromować nieznanego poetę. Na jego plecach...

Ojciec się uśmiechnął, skinął głową i poklepał syna po ramieniu. Potem wyszedł, zostawiając go z poezją i notatkami. Inżynier jeszcze raz przeleciał wzrokiem po tekście wiersza. Doszedł do jedenastej zwrotki i na głos przeczytał ostatnie wersy.

Lecz Ty? – lecz ja? – uderzmy w sądne pienie.

Nawołując: „Ciesz się, późny wnuku!...”

Jętkły – głuche kamienie:

Ideał – sięgnął bruku – –”

A zatem fortepian Chopina został wyrzucony i upadł na ulicę rozbity w drzazgi. Tyle Konstanty zrozumiał. Spojrzał na tytuł i, ponieważ ojca nie było w gabinecie, pozwolił sobie powiedzieć na głos.

– Chopin... Czy aby na pewno Polak? – Miał co do tego wątpliwości, ale nie dzielił się nimi z Apolinarym.



W tym samym czasie w sąsiednim pokoju odbywała się inna rozmowa. Krążył po nim służący, pakując rzeczy swojego pana potrzebne do życia przez kilka lat w Londynie. Hosni Al-Battani był Egipcjaninem, którego Dobrowolski poznał i zatrudnił kilka lat temu podczas prac modernizacyjnych nad Kanałem Sueskim. Okolicznością intrygującą był fakt, że w tym pakowaniu służącemu pomagała matka jego pana, Valerie Dobrowolski z domu Vaillant. Jeszcze bardziej interesujący był fakt, że zanosilo się, iż oboje rodzice zamierzali odprowadzić służącego na pociąg, a syna nie. Rzecz w pewnych sferach niebywała.

– Bywała czy niebywała – rzuciła cicho kobieta. – To jest nieważne. Wiem, że to może się wydać dziwne, ale przecież może się zdarzyć, że Francuz ożeni się z Angielką.

– Nadal uważam, że to rzecz niemożliwa. – Pokręcił głową Egipcjanin.

– Masz go pilnować, aby nie trafił na kogoś... niemądrego – odrzekła stanowczo Valerie. – W końcu będzie poza naszą kontrolą.

– Na nikogo sam nie trafi. – Hosni pokręcił głową. – Bo sam nie chce.

- Gdyby był sam, to mogłoby się coś...
- Był sam w Egipcie... – wtrącił służący.
- No i o mało... Wiesz kogo spotkał – przerwała matka.
- Dał sobie radę – przypomniał Hosni. – Przez skromność nie powiem, z czyją pomocą.
- Skupmy się na pakowaniu – przypomniała Valerie. – Nie może mu niczego zabraknąć. W Londynie bywa zimno.



To wszystko wydarzyło się dwa dni temu. Teraz Kostek Dobrowolski z przyjemnością wyglądał za okno, gdzie zielone łąki hrabstwa Kent rozciągały się we wszystkie strony. Jego towarzysze podróży próbowali przerwać tę sielankę i zagadnęli kilka razy w typowo angielski sposób, pytając o pogodę. Dobrowolski uprzejmie odpowiadał w języku, którego nauczył go ojciec. Apolinary, uciekając z Rosji, trafił też do Londynu i aby zarobić na dalszą podróż, pracował przy budowie metra. Wtedy nauczył się języka. Języka ubogich dzielnic stolicy imperium. Potem przekazał go synowi, a ten udoskonalił go podczas pracy z Brytyjczykami przy poszerzaniu Kanału Sueskiego.

W pociągu próbował czytać dokumenty związane ze zleceniem od ojca. Jednak notatki i wiersz były zbyt trudne. W ramach kompromisu z własnym sumieniem odłożył papiery i sięgnął po książkę. Również od Apolinarego. Obiecał ją przeczytać, ale nie umiał się przemóc. Nie mógł powiedzieć, że go nudziła, była przecież pełna przygód, ale ją też napisano po polsku. Znał ten język, ale jednak dość słabo i bardziej w mowie niż piśmie. Tata uznał, że się podszkoli,

jeśli zacznie czytać. Po kilku minutach Konstanty zauważył, że obserwuje go młoda współpasażerka, a właściwie usiłuje przeczytać tytuł i nazwisko autora książki. Litery jej się jednak nie składały, a język łamał nawet w myślach. W końcu inżynier pochylił się i szepnął do niej:

– *With Fire And Sword* – przetłumaczył tytuł i dodał: – *By Henryk Sienkiewicz.*

Kobieta zmarszczyła twarz, wyrażając jednocześnie niesmak i politowanie.